

MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
IDZIE LUTY, PODKUJ BUTY



WSTĘPNIAK

Konrad Makuch

Drodzy Czytelnicy, macie przed sobą „Margines” nr 2/2015. Wygląda na to, że w naszej Redakcji, z przyczyn od nas niezależnych, zachodzą niemałe „stanowiskowe” roszady. Starych wyjadaczy z klas czwartych powoli próbują zastępować młodszy koledzy, pełni zapału, chęci do pracy i pomysłów na nowe, ciekawe artykuły.

Luty to miesiąc, można powiedzieć, należący do tych, które są w sposób szczególny oczekiwane przez uczniów. Nie tylko uczniów ZSŁ, ale również wszystkich uczęszczających do szkoły Małopolan i mieszkańców pozostałych czterech województw, dla których ferie zimowe w tym roku przypadają właśnie w tym czasie. Dwutygodniowa labia to upragniony czas odpoczynku, wzmożonej aktywności fizycznej, rozrywki i chwilowego zapomnienia o szkolnych murach, do których pełni energii, gotowi do zdobywania nowych partii wiedzy wrócimy zaraz na początku marca. Podczas odpływającej przerwy, jak przystało na autora „Wstępniaka”, polecam więc sięgnąć po naszą elitarną gazetę, w której jak zwykle, specjalnie dla Was, przygotowaliśmy kilka ciekawych tekstów.

Renata tradycyjnie już, miesiąc w miesiąc zbiera wszelkie istotne informacje o szkolnym łącznościowym środowisku i naszej społeczności, przedstawiając je w „ZSŁ News”.

Karolina aktywnie rozwija swoją koncepcję, pisząc nieszablony i pełne głębszych osobistych refleksji porównania stosunków do różnych intrygujących spraw przedstawicieli obu płci z naszej szkoły. I tym razem poświęciła się tematowi naszej postawy wobec przyjaźni damsko-męskiej.

Łukasz jako jeden z najbardziej doświadczonych redakcyjnych pisarzy, w atrakcyjny i lekko ironiczny sposób wyraża swoje przemyślenia na temat pisania słabych tekstów, delikatnie wspominając o innych, internetowych wątkach. Zwraca też uwagę na problem radzenia sobie z brakiem weny twórczej.

Czytając tekst Krzysztofa o jego doświadczeniach związanych z bimbrownictwem, możemy się dowiedzieć, jak zacząć naszą przygodę z tym tematem. Niewykluczone, że ktoś zainspirowany takim artykułem, odkryje w sobie nowe hobby, a przy okazji efekty jego pracy mogą się przydać w zimne feryjne wieczory jako lekkie lekarstwo na poprawę względnej ciepłoty naszego organizmu.

W numerze, zgodnie ze zwyczajem, pojawiła się również, godna polecenia recenzja, której autorem jest Artur.

Co z tego wynika? Moim zdaniem tylko tyle, że mimo niezbyt wielkiej objętości tego numeru sprawia on wrażenie pękającego w szwach pod względem jakości tekstów w nim zawartych. Zresztą każdy numer jest potwierdzeniem ekskluzywności tego miesięcznika, dlatego zachęcam wszystkich, którzy uważają, iż potrafią stworzyć tekst równie ekskluzywny, do pisania do „Marginesu”. Może odkryjecie w sobie ukryty talent pisarski...

Co w numerze?

ZSŁ News

s. 3

Razem różnie

s. 3

Jak pisać słabe artykuły

s. 4

Jak zostać bimbrownikiem?

s. 5

Uczmy się języków

s. 6

Mamo! Ja nie chcę w kamasze!

s. 6

Ostatnie spojrzenie na Indie

s. 7

Lewiatan

s. 8

warto za nie chwycić	mniś żyjący wspólnie	...	Samozwaniec, car	portugalski tor wyścigowy	Colin, kierowca	drgający blask	taniec towarzyski	narzędzie kopacza	znany kabaret
pani plażąca w gniazdku	psia noga	liczba przeżytych lat	ociąga się w działaniu	klej do drewna	totalna szmira	Loch jezioro z potworem	macher, ekspert		wyspa i państwo
maturzystka							narty pradiadka		
toruńskie ciasteczko					cykada, owad tropikalny	tarlak	zapory	hodowca reniferów	
Dempsey, legenda boksu	jednocześnie bielizna	podatkowe - cieszą	gruby koc	młode rude	potrzebne wierszoklecie	autor "Imienia Róży"	pot. o dużych ciężarówkach	agencja prasowa z ZSRR	świętuje 21 stycznia
schabowe lub mielone	grozi na plaży				kościół pod nim				człowiek śniegu
opisują wielkość przedmiotu	świeca do chrztu						marka z grupy Volkswagena		
					kwoki				



zadanie udostępnił serwis krzyżówkowy szarada.net

Gazeta Szkolna ZSŁ
Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Górszczak
Łukasz Ożóg
Krzysztof Franiek
Damian Hanusiak
Artur Kawala
Marek Siwecki
Maciej Pietrzyk
Renata Makuch
Michał Ambroży
Monika Sajbura
Karolina Potoczak
Konrad Makuch

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl

www: margines.tl.krakow.pl



MARGINES
Gazeta Szkolna

ZSł News

Renata Makuch

CO W SZKOLNEJ TRAWIE PISZCZY.

Tylko parę dni dzieli nas od dwutygodniowego odpoczynku. Nie oznacza to, że nic się nie dzieje, wręcz przeciwnie.

Za nami już tegoroczna studniówka. Jeśli ktoś chciałby powspominać, zapraszam na fanpage Samorządu Uczniowskiego.

Nasza szkoła odnosi sukcesy sportowe! Reprezentacja ZSł w koszykówce sięgnęła po Puchar Dyrektora VII LO w Krakowie. W finale nasi koszykarze pokonali odwiecznego rywala – gospodarza turnieju - VII LO (36-23). Opiekunem drużyny jest p. Przemysław Cienkosz. Drużyna ZSł wywalczyła I miejsce w zawodach badmintonowych zorganizowanych w ramach Krakowskiej Olimpiady Młodzieży trenerem drużyny jest p. Anna Adamowicz. Gratulujemy!

Dotarli do nas wyniki „Igrzysk Wiedzy”. W grudniu 2014 roku dziewięciu uczniów naszej szkoły wzięło udział w ogólnopolskim internetowym konkursie z czterech przedmiotów - matematyki, języka polskiego, języka angielskiego oraz informatyki i technologii informacyjnej. Nasi uczniowie zajęli wysokie miejsca. Aby zobaczyć wyniki, odwiedźcie fanpage ZSł.



Kasper Sapała i Samuel Tomczyk zostali zakwalifikowani do zawodów II stopnia XXII Olimpiady Informatycznej.

Znamy już wyniki III edycji konkursu na INTERAKTYWNY PRODUKT IT organizowanego przez Akademię Morską w Szczecinie pod patronatem Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji. Krystian Łyczak z kl. 2 Ic został laureatem, a Bartek Duda i Filip Zarębiński otrzymali wyróżnienie. Wszystkim gratulujemy!

Za nami próbny egzamin zawodowy maturzystów. Po raz ostatni zdawany jest w starej formie, czyli jeden duży egzamin na koniec szkoły. Mam nadzieję, że wszystkim poszedł bardzo dobrze, a właściwy pójdzie jeszcze lepiej.

Po feriach czeka nas KANGUR 2015. 19. marca odbędzie się w naszej szkole XXIV edycja Międzynarodowego Konkursu Matematycznego.

To chyba wszystkim w tym wydaniu ZSł News, polecamy się na przyszłość.

KONKURS NA REKLAMĘ SPOŁECZNĄ „JAK OSZCZĘDZAĆ ENERGIĘ”

ENERGO-OSZCZĘDZANIE NA EKRANIE!

Weź udział w konkursie i zgarnij fantastyczne nagrody!

1. Zbierz ekipę przyjaciół
2. Wybierzcie wśród nauczycieli swojego opiekuna
3. Zróbcie klip reklamowy „Jak oszczędzać energię”
4. Głosujcie na filmy i zgarniajcie nagrody

NAGRODY: EMISJA SPOTU W TV, telewizor, kamera, tablet, nagłośnienie.

TAURON *to więcej niż przed*

IESKA BRAVO onet Fabrykaidei

Razem różniej

Karolina Potoczak

NIE TAKA KOBIETA STRASZNA, JAK JĄ MALUJĄ.

Luty, miesiąc zakochanych. No tak, a jeśli jesteś singlem? Co wtedy? Pewnie drażni Cię ten cały szum wokół 14. lutego. Czasem aż mdli od góry kartek walentynkowych, misiów czy lizaków w kształcie serc. Ale nie będzie to artykuł z serii: „Smutne życie singli”. Wolałabym raczej zwrócić uwagę na jedną z lepszych rzeczy, jaka może nas spotkać w życiu, a mianowicie przyjaźń. Każdy chyba przyzna rację, że lepsze od samotnego wieczoru jest spędzenie go z przyjacielem. A co jeśli chodzi o przyjaźń damsko-męską? Co chłopcy sądzą o takim typie znajomości? Tym razem pytania zadałam trzecioklasistom. W końcu powinni mieć jakieś większe doświadczenie (może i w tym temacie):

- Co myślisz o przyjaźni damsko-męskiej?
- Czy jest to trudna przyjaźń?
- Co może wnieść w nasze życie?
- Czy łączność jest dobrym środowiskiem do rozwijania takich przyjaźni?



Na początku muszę się przyznać do jednego. Zaskakujecie mnie coraz bardziej. Myślałam, że rozmowy z Wami, delikatnie rzecz ujmując, będą ciężkie. A za każdym razem dowiaduję się o Was czegoś ciekawego. Byłam przekonana, że uznanie, iż przyjaźń damsko-męska nie jest możliwa. I kolejny raz się myliłam. Oprócz jednego wyjątku każdy odpowiadał, że takie stosunki istnieją, co więcej wielu z Was utrzymuje taką przyjaźń nawet od czasów gimnazjum. Zaznaczyliście jednak wielokrotnie, że nie jest to łatwa sprawa. Jedna z wypowiedzi pokazuje to wprost: „Jest ciężka do zrealizowania, przez duży popęd płciowy”. No tak, nie da się ukryć, że takie znajomości narażone są na inne zakończenie, niż byśmy tego oczekiwali. Piękna, miła dziewczyna, mnóstwo wspólnych tematów. I jak tu się nie zakochać?

Z drugiej strony jednak wymieniliście mnóstwo zalet. Począwszy od zrozumienia i wzajemnej pomocy, przez poznanie tej drugiej i jakże odmiennej płci i naszego specyficznego toku myślenia, kończąc na wsparciu w sprawach damsko-męskich (w końcu kto lepiej może wiedzieć, czego pragną kobiety, jak nie one same).

A czy łączność to dobre środowisko do zawierania takich znajomości? Zależy to tak naprawdę od charakteru konkretnych osób. Z jednej strony jest mało dziewczyn i trzeba mieć sporo szczęścia, żeby jakąś „złapać”, a z drugiej, skoro jest nas mało, możecie się skupić na tej jednej, konkretnej. Trzeba spróbować szczęścia. Przyjaźń damsko-męska nawet w naszej szkole jest możliwa i biorąc pod uwagę tę dysproporcję, jest częsta. Jestem zaskoczona tym, jak podobne mamy podejście. Wyszukiwanie różnic pomiędzy nami jest tym razem bezsensu. Nic więcej nie mogę dodać. Zgadza się z Waszymi odpowiedziami w stu procentach.

Podsumowując, trzeba powiedzieć, że mimo tego, iż kobiety są z Wenus, a mężczyźni z Marsa, czasem mamy podobne zdanie. Każdy potrzebuje wsparcia i pomocy. Dobrze mieć przy sobie kogoś, na kim zawsze można polegać. Z okazji Walentynek życzę więc Wam jak najszczęśliwszych i wspańiałych przyjaźni.

Jak pisać słabe artykuły

Nietrudno się domyślić, że Łukasz Ożóg

CO ZROBIĆ, ABY STAĆ SIĘ AUTOREM, PO KTÓREGO WYTWORY SIĘGA TYLKO NIELICZNA RZESZA NIEBOJĄCA SIĘ KOLEJNEGO STEKU BZDUR OWINIĘTEGO W MIARĘ PRZYZWOITY PAPIEREK.

Istotnie niemoralne i niepoprawne jest namawianie ludzi do złego, dlatego też od razu powiem, że tytuł ma jedynie charakter zachęty. Ktoś, po jego ujrzeniu, zerknie zapewne na autora i jeżeli kiedykolwiek wcześniej czytał coś, co wyszło z mojej klawiatury, przeczyta ten tekst, chociażby z czystej ciekawości. Przyszło mi do głowy, że jeśli rzeczywiście napisałbym taki artykuł, podając swoją osobę jako przykład, to przebiłbym samego siebie. Narzekać nawet na własne teksty to już chyba pewnego rodzaju problem z głową.

Świadom błędów, jakie potrafię popełniać i nieścisłości, z których później muszę się tłumaczyć swoim Czytelnikom (tych kilku wiernych o dziwo się trzyma), chciałbym napisać o tych, którzy jeszcze bardziej niż ja bezczeszczą kartki papieru albo klawisze komputera.

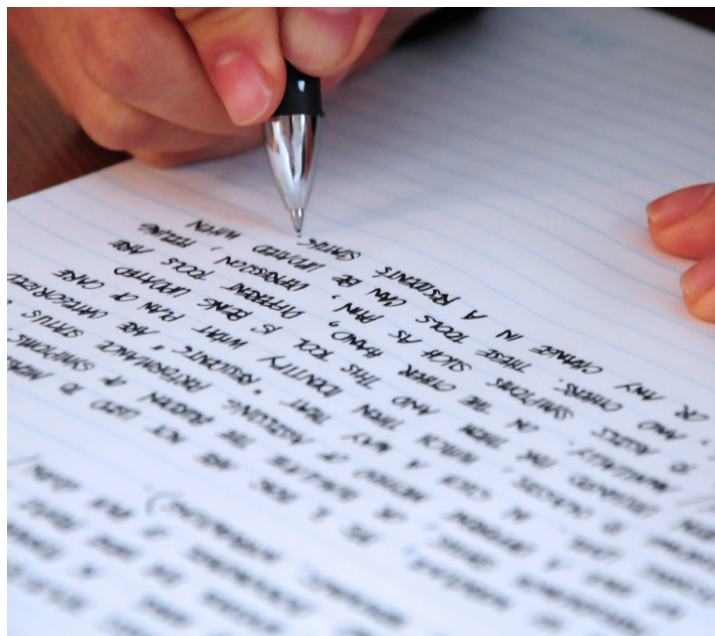
Należę do ludzi wygodnych, jeśli mam pod ręką Internet, a czasu tyle, co zwykle, to w celu zgłębienia swojego stanu wiedzy o aktualnościach ze świata korzystam z niego bez żadnych skrupułów. Robię tak już kilka lat. Dopiero ostatnio, mając chwilowy poczekalniowy kontakt z brukowcem, stwierdziłem, że ten fajny, nowoczesny i cool Internet w zasadzie niczym się od niego nie różni. Momentami jest jeszcze gorszy, bo dalej nie pojmuję, kto pozwolił na kilku z najpopularniejszych stron z informacjami komentować czytelnikom wszystkie wpisy. Użytkownicy robią tam, co chcą i zazwyczaj nie wykazują się inteligencją wykraczającą ponad poziom, a wręcz przeciwnie. Co prawda nie jest przymusem czytać takie rzeczy, ale nikt chyba nie zaprzeczy, że dostrzeżenie tak wielkiej ilości głupoty w jednym miejscu może zafascynować młodego i ciekawego świata człowieka. Abstrahując od komentarzy, sam poziom artykułów często jest bliski żenującemu. Na większych portalach udzielają się jeszcze starsi i doświadczeni dziennikarze i felietoniści, co ratuje trochę sytuację. Trzeba niestety przegrzebać się między pseudorzetelnymi niewypałami dziennikarzy zatrudnianych na oślep, aby dotrzeć tam, gdzie do przeczytania jest coś więcej niż słowo „sensacja” czy „katastrofa” i stek bzdur występujący za nim. Naprawdę nie chodzi mi tu o pudelki, ratlerki i pończoszki polskiego Internetu, lecz o zwykłe portale informacyjne. Pozostawione bez kontroli i wyprane z resztek wiarygodności oferują się jako te jedyne, te rzetelne i te bliskie człowiekowi. Smuci mnie to, ale rozumiem tych ludzi. Skoro dostawałbym stałą pensję czy będę pisał dobrze, czy nie, to z czasem moja ambicja i chęć bycia dobrym zyskałaby miano frajerstwa. Pisałbym, jakbym chciał, a dobrym i ambitnym poszedłbym być gdzie indziej.

Pisanie słabych tekstów to miano, które można uzyskać bardzo łatwo, jeśli mówi się o rzeczach, o których nie ma się pojęcia. Nie ma możliwości w świecie ludzkim, aby ktoś napisał konkretny tekst tematyczny bez chociażby podstawowej wiedzy albo chęci zrozumienia tematu. Podyskutować i podywagować na jakieś tematy jest całkiem dobrze i z racji wolności słowa nie można tego zabraniać. To, że piekarz na swoim blogu będzie pisał o C++, to bardzo dobrze. Perspektywa osoby, która poznaje zagadnienie może się przecież przydać. To wszystko jest bardzo w porządku do momentu, kiedy takie luźne przemyślenia i dywagacje nie znajdują się w dziale tematycznym gazety czy portalu internetowego i są nazywane profesjonalnymi. Ekspertem portalu czy gazety powinna być wykwalifikowana osoba, która zna się na tym, co robi, a nie ktokolwiek, kto poruszył temat i przeczytał coś na Wikipedii. Reszta powinna trafiać na pry-

watne blogi tych współczesnych filozofów albo w inne miejsca, gdzie stuprocentowa rzetelność i sztywne trzymanie się reguł zabijają sens.

Słaby tekst to też taki, który jest udostępniony dla czytelników, a nie przechodzi nawet podstawowej korekty. Nie wiem, czy mam po prostu pecha, czy zwracam już na to uwagę z przeobrażeń, ale jestem prześladowany przez bezprzecinkowe i antystylistyczne artykuły. Najczęściej to Internet otwiera przede mną drogę do całego siedliska tego typu tekstów. Z początku jest to bardzo rażące zjawisko, jednak po pewnym czasie człowiek sam głupieje i kopiuje te błędy. Słyszałem kiedyś, jak pewnie wszyscy, że im więcej czyta się książek, tym mniej błędów popełnia się w pisaniu. Niestety, zamiast zająć się drukowanymi dziełami literatury, pochłoniął mnie Internet. Staram się jednak dobierać treści tak, aby ich rzetelność nie budziła aż takich zastrzeżeń. Cieszę się, bo jest dużo stron tematycznych, na których ludzie piszą z własnej i nieprzymuszonej woli, co sprawia, że starają się robić to jak najlepiej. Na portalach informacyjnych wchodzę w zasadzie z dwóch powodów. Jednym z nich jest totalne odmóżdzenie przed snem, chwila, którą tak bardzo uwielbiam. Po dniu w szkole, zrobieniu zadania czy nauce, chwila walcowania mózgu przez często idiotyczne artykuły daje rezultat: „Połóż się do łóżka i śpij. Nie zamęczysz się myślami, bo już nie myślisz.” Drugi powód jest trywialny, to prognozy pogody. Wolę czytać te najmniej rzetelne, bo nie sprawdzają się praktycznie żadne. Wiem przynajmniej, jak na pewno nie będzie jutro na zewnątrz.

Wolność słowa to dość spory dar i cieszę się za każdym razem, kiedy widzę sytuację, w której jest dobrze wykorzystany. Własna wena, chwila natchnienia to momenty, w których pisze się najlepiej. Nie trzeba wtedy ugniatać i lepić słów w zdania, zdań w akapity, siłując się przy tym gorzej niż z zawodnikiem sumo. Jest w tym też pewność, że to coś napisanego od nas, mówiąc dosadniej, od serca. W momencie, kiedy coś staje się pracą i rutynowym zajęciem, to - wbrew pozorom - w przypadku pisania jeszcze ciężiej jest tworzyć dobre teksty. Szacunek jednak należy się tym, którzy nawet w prognozie pogody potrafią zawrzeć coś, co sprawia, że jest wyjątkowa.



Jak zostać bimbrownikiem?

Krzysztof Franiek

O PRODUKCJI DOMOWEJ GORZAŁKI SŁÓW KILKA.

Nadeszła zima. Śniegu jak na lekarstwo, lecz bywa zimno, mokro, ogółem pogoda sprzyjająca chorobom. W takim wypadku na długie wieczory dobra jest herbata, a jeszcze lepsza herbata z wkładką. Co najlepiej się nada do zasilenia takiej herbatki? Domowej roboty, aromatyczny, zdrowy i smaczny bimbler.

Jak takie cudo samemu wyprodukować? Czy to trudne? Ile pieniędzy trzeba zainwestować w sprzęt, czy to opłacalne, a przede wszystkim legalne?

Zacznę od kwestii najważniejszej, to jest legalności. Według polskiego prawa produkcja alkoholu na własny użytek jest całkowicie legalna, również tego wysokoprocentowego. Przestępstwem jest dopiero produkcja na masową skalę lub sprzedaż takiego alkoholu.

Kolejnym zagadnieniem jakie poruszę, jest proces produkcji. Jak to powstaje? Otóż na początku jest zacier, czyli coś w rodzaju wina. W jego skład musi wchodzić coś, co posiada cukier, czyli na przykład wszelakiego rodzaju owoce, zboże, ziemniaki, cukier, itd. Drugi składnik to drożdże, które rozpoczną proces fermentacji alkoholowej. Na dodatek całość powinna mieć w miarę płynną konsystencję, także może być potrzebne trochę wody. Co z tym zrobić? Wszystkie składniki należy umieścić w balonie winiarskim



(szklane naczynie o pojemności 10 – 50 litrów, kulistego kształtu) lub plastikowej beczce. Oczywiście naczynie musi mieć zamontowaną rurkę fermentacyjną, która umożliwi gazom powstającym przy fermentacji wydalać się, jednocześnie nie dopuszczając do zacieru powietrza, które wywołałoby zamianę naszego półproduktu w ocet. Nabieraliśmy pięćdziesięciolitrową beczkę dobrze dojrzałych śliwek, które leżały pod drzewem, umyliśmy je, dodaliśmy troszkę wody, osiem kilogramów cukru, drożdże winiarskie lub gorzelnicze, zakręcamy i zostawiamy to na 3 – 5 miesięcy.

Zacier swoje odstał, nadszedł czas na destylację. Potrzebujemy do tego odpowiedniej aparatury. W tym miejscu się rodzi pytanie: z czego się takie cudo składa? Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. Najbardziej prymitywne aparatury, jakich używają Murzyni w małych wioskach w głębi Afryki, składają się z paleniska, starej puszeki po farbie, połowy dużej plastikowej butelki i garnka z wodą. Niby da się za pomocą czegoś takiego destylować, aczkolwiek w wielu przypadkach, a w szczególności, gdy obsługujący maszynę nie zna się na rzeczy, tak wyprodukowany alkohol trzeba pić szybko, bo zaczyna się ściemniać. Bardziej zaawansowane sprzęty z jakimi można się spotkać w naszych realiach, mogą być wyprodukowane z miedzianych rurek, baniek na mleko, blaszanych beczek bądź innych tego typu rzeczy. Ryzyko wyprodukowania trucizny jest mniejsze

w takim przypadku, lecz nadal istnieje. Ja omówię przykład aparatury całkowicie bezpiecznej, łatwo dostępnej i prostej w obsłudze.

Zacnijmy od naczynia, w którym będziemy gotować nasz zacier. Tu najlepiej sprawdza się szybkowar lub na przykład trzydziestolitrowa beczka ze stali nierdzewnej po piwie. Aby mieć pewność, że zacier się nie przypali, beczkę umieszczamy w większym garnku, który jest napełniony wodą. Zapewni to równomierne ogrzewanie beczki. Czym ogrzewamy? Najprostszy i najlepszy jest taboret gazowy, zasilany z jedenastokilogramowej butli z gazem. Co dalej? Ogrzewamy zacier po to, aby alkohol, którego jest w nim kilkanaście procent, zaczął parować, a zaczyna on w niższej temperaturze niż woda. Beczka z zacierem musi być szczelnie zamknięta, wychodzi z niej jedynie wężyk prowadzący gazową mieszaninę alkoholu i wody do kolumny rektyfikacyjnej. Jest to szklana kolba wypełniona drobnymi szklanymi rurkami, na których substancja skrapla się, a następnie pod wpływem gorącej pary, która cały czas napływa, znowu paruje. Taka kolumna rektyfikacyjna nie jest niezbędna, jednakże dzięki niej metanol i część wody skrapla się tu i nie parują powtórnie, bo mają zbyt dużą temperaturę parowania. Spływają do odstojnika, który co jakiś czas się opróżnia, a zawartość wylewa. Następny element działa podobnie, lecz nie zawiera drobnych szklanych rureczek. Kolejna, kluczowa część to chłodnica. Jest to szklana spirala, wewnątrz szklanego walca, który wypełniamy wodą. Zadaniem tego podzespołu jest schłodzenie alkoholu, który jest nadal w stanie gazowym i skroplenie go. Temperaturę obniżać można, podłączając chłodnicę do kranu z bieżącą zimną wodą lub wykorzystać na przykład starą chłodnicę samochodową. I tu kończy się pierwsza faza destylacji. Otrzymujemy bimbler 50 – 60 procentowy, o dość mocnym posmaku. Powtórne przepuszczenie go przez aparaturę zwiększy procentową zawartość alkoholu i zniweluje posmak drożdży.

Teraz kwestia pieniędzy: ile trzeba zainwestować na początku? Koszty taboretu gazowego, trzydziestolitrowej beczki ze stali nierdzewnej, czterdziestolitrowego garnka, kolumn rektyfikacyjnych, chłodnicy, pięćdziesięciolitrowej beczki na zacier, rurki fermentacyjnej i innych drobiazgów to koszt rzędu 500 – 700 złotych, plus trochę własnej pracy przy montowaniu. Oczywiście można nieco dopłacić i zamówić gotową aparaturę. Czy to dużo? Zależy jak na to patrzeć. Rozmiar własnego zapotrzebowania to jedno, a drugie to smak, jakość i satysfakcja z wyprodukowania własnej ambrozji.



Uczmy się języków

Michał Grabowski

CZY ILOŚĆ KSIĄŻEK I JĘZYKÓW NA ŚWIECIE NIE JEST DOSKONAŁYM PRZYKŁADEM PEŁNOŚCI KULTURY ŚWIATA?

Czy wyobrażaliście sobie kiedykolwiek, że nasz język jest tylko jednym z kilku tysięcy innych języków? A może wiedzieliście już o tym wcześniej? Ja nie ukrywam, że chociaż wiedziałem o tym od dawna, to wciąż ta myśl zapiera mi dech w piersiach. Wtedy mam jedną, wielką, nieprzerwaną ochotę, by poznać lub przynajmniej usłyszeć je wszystkie.

Wielu moich znajomych uważa, że języki nie są nam do niczego potrzebne, jeśli nie mamy zamiaru się nimi posługiwać na szerszą skalę. Pojawi się również mnóstwo innych argumentów przeciwko nauce języków – ależ po co one mają nam zajmować cenne szare komórki? Teraz młodzi ludzie nie są nastawieni pozytywnie do kolekcjonowania wiedzy, lepiej jest przecież pograć sobie z kolegami w grę na komputerze, aniżeli siedzieć przy biurku i uczyć się czegoś dla własnej satysfakcji. Każdy ma swoje zainteresowania... Ja kocham uczyć się języków. Jest to doskonały sposób na poszerzanie swojej wiedzy bardziej wszechstronnie.

A teraz wyobraźmy sobie – ile dorobku zgromadziła dotychczas ludzkość? Czy słyszeliście może kiedyś o językach nuri-kańskich albo abchasko-adygijskich? Nie bądźmy zdziwieni – na świecie istnieje szacunkowo 6 do 7 tys. języków! Usłyszenie ich wszystkich jest praktycznie niemożliwe – setki z nich są krytycznie zagrożone wyginięciem, tymi językami posługuje się zaledwie garstka osób (przykładem takich języków jest etnoлект wilamowicki w Polsce, którym posługuje się jedynie kilkadziesiąt starszych ludzi z Wilamowic koło Bielska-Białej). Nie jest jednak tak, że każdy język posiada swoją uniwersalną historię i byt. Każdy język należy do swojej rodziny językowej i chociaż może się wydawać nam, że język chiński jest tym samym, co japoński – Chińczycy albo Japończycy powiedzą, że ich język jest uniwersalny. Spróbujmy sobie wyobrazić różnicę pomiędzy językiem polskim a czeskim – ktoś, kto nie zna tych języków, powiedziałby, że są takie same.

Co z innymi językami? Jakiś rok temu zacząłem się uczyć łaciny i jest ona według mnie bardzo pięknym i ciekawym językiem. Szkoda tylko, że oficjalnie nikt już nie mówi w tym języku, chociaż jest on językiem urzędowym Państwa Watykańskiego i wielu ludzi potrafi nawet pisać książki w łacinie. Wiele fraz z języka łacińskiego jest oczywiście używanych również w języku polskim. Ludzkość dorobiła się więc dorodnej kultury, czyż nie?



Mamo! Ja nie chcę w kamazie!

Jakub Rosiak

JAKIE SĄ WADY I ZALETY POBORU? CO ZROBIĆ, ABY POLACY CZULI SIĘ BEZPIECZNIEJSI? W PONIŻSZYM ARTYKULE POSTARAM SIĘ ODPOWIEDZIEĆ NA TE JAKŻE, Z PUNKTU WIDZENIA POLSKIEJ OBRONNOŚCI, WAŻNE PYTANIA. ZAPRASZAM DO LEKTURY.

Co jakiś czas w polskich mediach odradza się niczym feniks z popiołów dyskusja o tym, czy przywrócić w naszym kraju powszechny pobór wojskowy. Jest to temat z punktu widzenia obronności bardzo ważny, jednak niestety zazwyczaj służy on za amunicję polityczną w ciągłych sporach na linii opozycja – rząd. Brak rzeczowej dyskusji jedynie szkodzi interesowi Polski oraz osłabia poczucie bezpieczeństwa obywateli. Widząc to, co dzieje się za naszą wschodnią granicą, powinniśmy zacząć myśleć o tym (a w zasadzie to nasi politycy powinni), co zrobić, by poprawić systemy, algorytmy i plany obronne.

Spróbujmy skupić się najpierw na zaletach powszechnego poboru, który w Polsce obowiązywał do 2008 roku. Po pierwsze, teoretycznie społeczeństwo jest lepiej przygotowane na czas wojny, obywatele po obowiązkowych miesiącach spędzonych w jednostce wojskowej, potrafią posługiwać się bronią palną, zapoznani są z używanym w armii mniej skomplikowanym sprzętem (wielkokalibrowe karabiny maszynowe, działka przeciwlotnicze ZSU 23-2, ręczne przeciwlotnicze wyrzutnie rakietowe „Strzała” i „Grom”, moździerze), co skraca zdecydowanie okres szkolenia podczas obowiązkowej mobilizacji, gdy występuje zagrożenie z zewnątrz i czas jest czynnikiem decydującym o powodzeniu chociażby skutecznej obrony granic. Poborowy ponadto może wykazywać większą dyscyplinę oraz spryt na polu bitwy od cywila naprędce wcielonego do armii, gdyż miał już wcześniej styczność z manewrami wojskowymi podczas ćwiczeń poligonowych, które uczą odpowiednich nawyków, taktyk walki oraz zgrania, które w dzisiejszych konfliktach bywa decydujące. Kolejną zaletą powszechnego poboru jest to, że armia dysponuje dużo większą ilością żołnierzy, którzy w stosunkowo krótkim czasie mogą być przerzuceni w rejon konfliktu i wejść do walki z wrogiem.

Przejdźmy teraz do wad omawianego rozwiązania. W armii używa się coraz więcej nowoczesnego uzbrojenia, wymienić tu mogę chociażby w ostatnich latach dostarczone radary artyleryjskie „Liwiec” i trójwspółrzędne TRC-S 15 „Odra”, czołgi Leopard 2A5, wyrzutnie rakiet przeciwokrętowych Kongsberg i pojazdy dowodzenia z Morskiej Jednostki Rakietowej, przeciwpancerne pociski kierowane „Spike” i znane z Afganistanu KTO Rosomak. Wyliczone powyżej pojazdy i systemy rakietowe są rozwiązaniami wielce skomplikowanymi, potrzebującymi do obsługi świetnie wyszkolonej kadry, która wykrzesze z nich wszystkie możliwości i będzie ich używała odpowiedzialnie i bezpiecznie. Niestety poborowy nie może równać się wyszkoleniem z profesjonalnym żołnierzem, od lat uczącym się na przykład odpowiedniej eksploatacji wozów łączności lub rozpoznania radiolokacyjnego. Jest wielce prawdopodobne, że uszkodziłby on jeden z elementów drogiej aparatury, co w efekcie spowodowałoby przerwy w połączeniach i przesyłach danych, które znowu mogłyby skutkować opóźnieniem działań oddziałów bojowych. Szkolenie generuje ogromne koszty, za które płacą podatnicy. Uczenie poborowych, którzy za kilkanaście miesięcy najprawdopodobniej opuszczą szeregi armii, jest wysoce nieopłacalne. Prawidłowe jest długotrwałe inwestowanie w kadrę wojskową, podnoszenie kwalifikacji szeregowych, podoficerów i oficerów. Na niekorzyść dla poborowych przemawia również to,

że nie posiadają oni wystarczającej wiedzy taktycznej do przeprowadzania skomplikowanych manewrów wojskowych oraz do działania w terenach zurbanizowanych, gdzie nawyki wyniesione z lat spędzonych na ćwiczeniach procentują najbardziej. Ponadto morale poborowego, który został siłą wcielony do armii i uważa on służbę wojskową za najgorszy okres w jego życiu, będzie nieporównywalnie niższe od morale żołnierza świadomego i z wyboru służącego Polsce oraz broniącego jej granic przed agresorem.

Podsumowując należy stwierdzić, że jak w większości przypadków należy tak i w tym znaleźć złoty środek. Moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem byłoby utrzymywanie armii zawodowej o liczebności nie mniejszej niż 100.000 (owszem, jest powszechnie wiadome, iż kolokwialnie rzecz ujmując „im więcej tym lepiej”, jednak trzeba być realistą i zdawać sobie sprawę, że nasze państwo nie jest w stanie utrzymać większej armii, która byłaby zarazem nowoczesnie uzbrojona i dodatkowo rzetelnie wyszkolona). Oprócz profesjonalnego wojska należałoby przeszkolić większą część społeczeństwa w zakresie używania broni palnej (tutaj mam na myśli chociażby popularnego „Kałasznikowa”, którego setki eg-

emplarzy zalegają w magazynach wojskowych), udzielania pierwszej pomocy w przypadku postrzałów, poparzeń, złamań, podstawowych komend i terminów wojskowych oraz podstaw taktyki i zasad działania w oddziale. Wskazane również byłyby organizowanie regularnych ćwiczeń poligonowych dla cywili, którzy przez na przykład przez tydzień przebywaliby w koszarach lub w pobliżu jednostki i zapoznawaliby się z aktualnym uzbrojeniem i zasadami panującymi w wojsku.

Wnioski, które przedstawiłem, są jak na razie jedynie pobożnymi życzeniami, które być może w niedalekiej przyszłości spełnią się i z zupełnie czystym sumieniem będzie można powiedzieć publicznie, że jesteśmy w pełni gotowi na wypadek wojny. Wydarzenia w Donbasie dobitnie świadczą o tym, że braki w wyszkoleniu, uzbrojeniu i dowodzeniu zostają bardzo szybko obnażane przez drugą stronę konfliktu (próba odbicia lotniska w Doniecku przez siły ukraińskie), dlatego ważne jest, aby rządzący Polską wyciągnęli wnioski z ukraińsko – rosyjskiego konfliktu i odpowiedzialnie oraz z zachowaniem najwyższego profesjonalizmu tworzyli programy modernizacji polskiej armii.

Ostatnie spojrzenie na Indie Wiński

POŻEGNANIE Z KULTURĄ INDII I HINDUSAMI

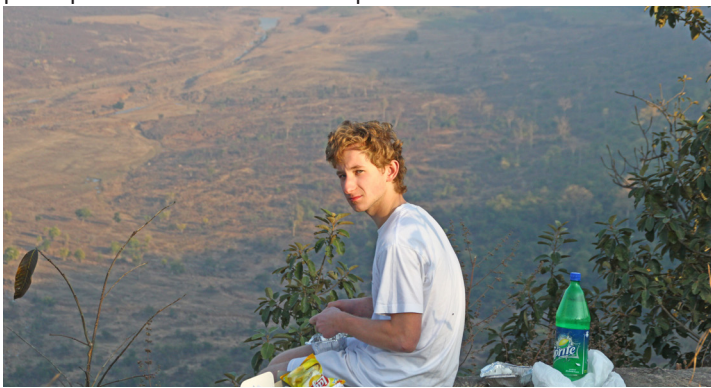
Pobudka bardzo wczesna. Znowu się nie wyspałem. Wyłączam budzik i patrzę na zegarek – 5.40. Czyli mam prawo czuć się niewyspany. Szybkie śniadanie, ogarnięcie rzeczy i do autobusu. Dziś długa podróż przed nami. 470 km po tych zniszczonych drogach. Po powrocie do Polski nie będzie na co narzekać. U nas przejedzie się to szybciej niż czternaście godzin.

Odjeżdżamy jeszcze dalej od turystycznych miejsc. Bieda otacza z każdej strony. Większość ludzi żyje poniżej granicy ubóstwa. Ich warunki urągają normalnemu życiu. Mówi się, że w Indiach 40% obywateli ma telefon komórkowy, a tylko 35% dostęp do bieżącej wody.

Kierowanie czymkolwiek w ich warunkach wymaga niezmiernych umiejętności. Po drodze widzieliśmy ponad 10 wypadków. W większości z nich uczestniczyły samochody ciężarowe i większość to zderzenia czołowe. Żaden z kierowców nie chce ustąpić. Aby móc przewozić turystów, należy mieć dodatkowy kurs oraz odbyć kilkuletni staż jako pomocnik kierowcy. Przeciętny człowiek może sobie kupić prawo jazdy. Władza wychodzi tam z założenia, że jeśli ktoś nie boi się wyjechać na drogę, to potrafi jeździć.

Po drodze była tylko krótka przerwa na lunch z zapierającym dech w piersiach widokiem.

Varanasi. Dojechaliliśmy na godzinę 21. Hotel Clarks był bardzo elegancki, zresztą jak większość miejsc przeznaczonych dla turystów. Rozpakowaliśmy się, zjedliśmy kolację i po szybkim prysznicu pora spać. Jutro znowu wczesna pobudka.



Wstajemy więc o 5.20. Za 20 minut wyjazd na Ghaty (miejsca, w którym Hindusi palą zwłoki zmarłych) nad ich świętą rzeką – Gangesem. Mgła gęsta jak zupa i strasznie zimno. Wsiadamy na łódki, żeby zobaczyć wszystko z wody. Chyba pierwszy raz ubrałem tam zimową kurtkę. Niestety, nie było nam dane zobaczyć wschodu słońca nad Gangesem.



Widok jest przygnębiający. Pomiędzy łódkami pływają niespalone szczątki zmarłych, które wrzuca się razem z ich prochami do rzeki. Mnóstwo pętających się psów. Ludzie, mimo zimna i pływających szczątków, kąpią się w Gangesie. Wszyscy Hindusi chociaż raz w swoim życiu chcą tu być. Wielu starych i chorych (często na trąd) przyjeżdża tu i dogorywają w okolicach ghat. Proszą też o najdrobniejsze datki. Cieszą się z równowartości naszych 5 groszy, jakby wygrali na loterii. Przed pójściem do gat turyści rozminiają pieniądze na drobne, żeby móc pomóc tym ludziom. Hindusi muszą być spaleni w ciągu 48 godzin od śmierci. W Varanasi mają z urzędu zapewnioną kremację zwłok i wrzucenie prochów do Gangesu.



Potem czas wolny, zakupy, przejażdżka riksami i wieczorem znów nad ghaty, aby zobaczyć ceremonię modlitw za zmarłych. Powrót również riksami.

To już ostatni dzień w Indiach, jutro wyjeżdżamy do Nepalu.

Lewiatan

Artur Kawala

FILM ZAKAZANY, WŚLAWIONY, SZCZERY, WOŁAJĄCY. FILM O ROSJI.

Obraz Andrieja Zwiagincewa „Lewiatan” bez zbytniej przesady można nazwać małym traktatem o państwie rosyjskim czasów współczesnych. Znany z kontrowersji reżyser jest z pewnością bolączką sąsiadującego z nami kraju. Nie po raz pierwszy bowiem tworzy on obraz niewygodny dla władz. A tym razem wydaje się, że czara goryczy zostaje przelana, bo film w państwie Putina został zakazany i nazwany antyrosyjskim. I chyba jak na złość Władimirowi Władimirowiczowi świat go docenił, zaczął zbierać prestiżowe nagrody, zdobywać rozgłos, aż dotarł do oscarowego wyścigu, w którym jest faworytem.

Oczywiście, sukces „Lewiatana” może być uwarunkowany polityką, napięciami na linii Waszyngton-Moskwa, Zachód-Wschód, sytuacją gospodarczą. Ja jednak lubię sobie tłumaczyć, że dobry film (a ten na takie miano zdecydowanie zasługuje) broni się sam niezależnie od zewnętrznych czynników i jeśli w rzetelny sposób porusza dany temat, to sam potrafi przetrzeć drogę do komercyjnego i artystycznego sukcesu.

Zwiagincew w „Lewiatanie” porusza problem jednostki uwięzionej w systemie współczesnego państwa rosyjskiego. Jest on krytyką wymierzoną w rząd, ludzi zasiadających u władzy (szeroko pojętej, bo reżyser zepsucie widzi na każdym jej szczeblu) i krytykę tę wymierza zarówno samą fabułą, jak i symbolicznymi odniesieniami (już sam tytuł nasuwa kilka znaczeń), a także wyrazami bezpośrednimi. Konfrontuje również swojego bohatera ze znanymi stereotypami Rosjanina.

Kola to szary mieszkaniec Rosji, odziedziczył ziemię po ojcu, wybudował na niej dom i jedyne, czego chce, to spędzić w nim resztę życia z żoną i synem. Kobieta, którą poślubił, jest trochę przez niego zaniedbywana, synowi wyraźnie brakuje ojcowskiej ręki, wódki Nikolai spożywa dużo, ale w gruncie rzeczy jest to człowiek o dobrym sercu, uczynny i uczciwy. Miejscowy burmistrz rujnuje to może nie sielankowe, ale na pewno spokojne życie, kiedy wykorzystując furtki prawne, za bezcen wykupuje działkę i postanawia tam wybudować miejskie centrum. Przyjaciel Koli, moskiewski adwokat, przyjeżdża i rozpoczyna batalię przeciwko skorumpowanym miejscowym władzom, która toczyć się będzie na wielu szczeblach.

Film wyraźnie podzielony jest na dwie części. Pierwszą można nazwać polityczną i trwa ona aż do kryzysu, który usuwa z planu kilku bohaterów. Do tego momentu widzimy zmagania w sądzie, zawsze bezskuteczne i przeplatane różnymi sytuacjami, zawsze zakrapianymi wódką laną do niemałych literatek. Wymowną sceną jest wycieczka znajomych za miasto na utożsamienie Dmitrija – jednego z kolegów Koli. Zabierają żony, dzieci, strzelby i urządzają konkurs strzelecki. W pewnym momencie Dmitrij wyciąga AK-47 – najbardziej znaną rosyjską broń. Wyjmuje również portrety – Gorbaczowa, Lenina, Breżniewa i innych „wsławionych” rosyjskich postaci. Niczym czerpiąc inspirację z Biblii, przybijają obrazy gwoźdźmi do drewnianej belki i tak sporządzone tarcze za chwilę potraktują kałasznikowem, jakby sami pragnęli wymierzyć sprawiedliwość ludziom z ramek. Nie ostatni raz pojawia się nawiązanie do Biblii, tak jak i nie pierwszy raz widzimy portret rosyjskiego przywódcy – od początku bowiem w gabinecie burmistrza Putin wisi na ścianie, a operator dba o to, by był on zauważalny.

Polityka i religia grają u Zwiagincewa w jednej drużynie. Ta druga jest sprowadzona do narzędzia, które ma skutecznie działać, jest ona sferą, do której zwykły człowiek nie

może się zbliżyć – co jest jawnym zaprzeczeniem założeń prawdziwej wiary. Hermetyczne układy między nią a władzą pokazują jeszcze jedno oblicze obłudy i korupcji. Kamera podczas spotkań burmistrza z popem wyśmiewa te układy, wręcz infantylizuje je i odsłania niezmierzoną głupotę rządzących. Ironicznie przed i po lub podczas spowiedzi spogląda na podobizny świętych, figurki cerkiewne i obrazki. Adwokat Koli nie wierzy w taki Kościół, jego wyznaniem są niezbite dowody, daje wiarę tylko temu, co fakty potwierdzają. Nie chce wierzyć w Boga rosyjskiego, gdzie ma On głównie wymiar polityczny.

W drugiej połowie ton filmu zmienia się i skupia się już na skutkach walki z systemem, pokazuje ich siłę zdolną złamać każdego. Kola, często wcześniej pijący alkohol, popada teraz w kompletny nałóg. Nie zależy mu na niczym, państwo go zwyciężyło i podporządkowało sobie. Częściej tutaj występuje motyw tytułowego stwora: w nawiązaniu do walczącego z Iosem Hioba; w momencie, kiedy Lilia spogląda na morze; na plaży w postaci wielkiego szkieletu ciągle obecnego oraz cały czas, gdy Kola miota się sam ze sobą. Rodzina została w pierwszej części przez sądową sprawę odsunięta na drugi plan i teraz mężczyzna zostaje sam. Reżyser postępuje tak, jakby zmienił taktykę – nie przygląda się już machinie korupcyjnej, z którą nikt nie może wygrać. Odwraca spojrzenie na skutki wyrządzone przez pozbawione moralności zachowania urzędników. Spogląda na to, jak wielkie spustoszenie sieje w życiu osobistym państwo, które nie liczy się z dobrem mało znaczących (z punktu widzenia tegoż państwa) obywateli. Paradoksalnie zniszczeniu ulegają rodziny, które przecież kraj ten budują.

Zakończenie filmu stanowi klamrę kompozycyjną. Tryumfują niegodziwi; końcowe kazanie w cerkwi, którego tematem jest szeroko pojęte dobro i zło oraz Boża prawda, tylko podkreśla jedną wielką nieetyczność Rosji. Film kończy się dokładnie tak, jak został rozpoczęty – widzimy ujęcia rosyjskiego miasta, krajobrazów, nieba i pól. Piękne widoki rosyjskiej flory podziwiamy przez kilka minut. Dokładnie jak na początku – nic się nie zmieniło, obłuda trwa w najlepsze. Zwiagincew wyraża żal, że tak ładny kraj jest siedliskiem zepsucia i ubolewa nad tym, że muszą tam żyć niewinni ludzie, którzy, jak reżyser i Kola, pragną tylko spokojnego życia, a nie jest im to dane. Kto wie, może władza to właśnie tej autentycznej prawdy zawartej w smutnej refleksji rosyjskiego reżysera obawiała się najbardziej, kiedy podejmowała decyzję o usunięciu „Lewiatana” z kin.

